



SPECJALNIE
DLA
„FENIXA”

ŚWIAT
W
ZWIERCIADLE

Mac R.
Leod

(Bad Wednesdays) Przełożyła
Monika Machlejd-Ziemkiewicz

Zmora środowych popołudni była łacina i odbywające się na głównym dziedzińcu ćwiczenia z bronią, którą zastępowały specjalnie obciążone drewniane miecze. Tawny obu tych przedmiotów nienawdził i bał się ich. Tydzień dzielił się dla niego zawsze na dwie części: na dni strachu, kiedy lekcje się zbliżały, i dni radosnej ulgi, kiedy miał je za sobą. Ulga ta była jednak krótkotrwała, ponieważ najdalej w niedzielę znowu zaczynało wzbierać w nim uczucie trwogi. Gdyby Tawny miał powiedzieć, czego obawia się i nie znosi bardziej, wskazałby na szermierkę. Nauczyciel, Mistrz Pinnett, zawział się na niego. Mistrzowi nie brakowało rycerskiej dumy, pychy i zręczności w walce, jednej wszakże, zasadniczej cechy rycerza był pozbawiony - błękitnej krwi. Toteż ów człowiek z ludu zazdrościł wszystkim rycerzom. Z lekceważeniem odnosił się do ich nieudolnej, niezasłużenie uprzywilejowanej progenitury, ale w szczególnej pogardzie miał Tawny'ego, który - jeśli chodzi o zajęcia rycerskie - był wyjątkowym beztalenciem. Kiedy zachodziła potrzeba zademonstrowania jakiejś figury z mieczem, wywlekał Tawny'ego z szeregu ciągnąc go za ucho i zmuszał do

naśladowania niezrozumiałych i bezsensownych zamasztych ruchów, gdy tymczasem pozostali chłopcy tarzali się ze śmiechu. Na koniec Mistrz Pinnett zazwyczaj grzmocił go dotkliwie, bo łapy miał wielkie i ciężkie, ale nie to było najgorsze; Tawny'ego bardziej bolało, że go wystawiano na śmieszność i że być może na to wszystko, z którejś z wysokich wież wznoszących się nad dziedzińcem, patrzyła jego matka oraz inne damy dworu.

Wdowiec, Język Smoka, Cios Króla Harry'ego... Już same te nazwy figur w walce na miecze doprowadzały chłopca do rozpacz. Pewnego pogodnego jesienno popołudnia, zaraz po tym, jak Tawny dowiedział się, że znów zawalił gramatykę łacińską, Mistrz Pinnett pokazał uczniom Zimowy Łuk Gauvaine'a, najkoszarniejszą i najbardziej zawiłą ze wszystkich figur. Całą godzinę, na oczach wyjątkowo licznie zgromadzonych widzów, Tawny machał swym drewnianym mieczem, bezskutecznie usiłując naśladować pełne wdzięku, skomplikowane uderzenia Mistrza, aż wreszcie, po raz pierwszy, publicznie się rozplakał. Był tak obolały, że prawie nie czuł razów Pinnetta.

Ostatecznie jednak lekcja się skończyła i dziedziniec opustoszał. Stojąc cały w kurzu i łzach, Tawny pomyślał, że jest na świecie tylko jedno miejsce, gdzie może uciec, tylko jedno miejsce, gdzie udreka będzie łatwiejsza do zniesienia: komnata Nan Adkin. Mieściła się wysoko, w na wpół zrujnowanej wieży, której okna wychodziły na morze. Pobiegł tam, walcząc z wiatrem na blankach, mijając mroczne, puste sale i wspinając się po zniszczonych, wyszlizganych schodach. Otworzył drzwi komnaty, a potem zatrzasnął je za sobą tak, jakby ścigali go wszyscy Władcy Chaosu.

Nan Adkin rozpostarła wokół ramion swój czarny szal, co przywiodło Tawny'emu na myśl nietoperza składającego skrzydła. Spojrzała na chłopca znad ognia, który płonął w kominku.

- A więc znowu przyszedłeś - powiedziała, starając się sprawiać wrażenie niezadowolonej. Z bezzębnych ust dobywał się przytłumiony głos. - Skoro już jesteś, siadaj.

Chcąc zaczerpnąć powietrza, Tawny usadowił się na kamiennym parapecie jedyne go w komnacie, wąskiego okna. W dole, za szybkami w kolorze butelkowym, w blasku popołudniowego słońca falowało spienione morze.

- Już po lekcjach? - spytała Nan. Skinął głową.

- Mistrz Pinnett znów zachowywał się jak dureń, którym zresztą niewątpliwie jest?

- Nienawidzę tych ćwiczeń... - Tawny'emu powtórnie łzy nabiegły do oczu. -

Nienawidzę ich!

- Jeżeli nie nauczysz się dobrze posługiwać bronią, marny będzie z ciebie rycerz.

- Nie chcę być rycerzem.

- Powiedz to swojemu ojcu, kiedy wróci z wyprawy. Tawny na myśl o tym przeraził się. Nie odrzekł nic.

Stara kobieta zaczęła rozcierać swoje artretyczne kolana. Na kominku trzaskał ogień. Zza okna doleciał krzyk mewy.

- Arr... - Nan wydobyła z krtani dźwięk przypominający otwieranie drzwi.

Zapomniawszy o swojej niedoli, Tawny wyprężył się z zadowoleniem, ów odgłos oznaczał bowiem, że Nan jest gotowa do rozpoczęcia jednej ze swych opowieści.

- Kiedyś, gdy byłam dziewczyną, tuż przed zniwami przez wiele dni lały się z nieba potoki deszczu. Mamusia powiedziała do mnie tak: „Kochanie, ponieważ jesteś najpiękniejszą dziewczyną w wiosce, na ciebie spada ten obowiązek. Musisz wyruszyć do lasu i odszukać żyjącego w strumyku duszka, który sprowadza nam tu ze wzgórz deszcz”. No i poszłam ciemną leśną ścieżką. Wkrótce ociekałam wodą, a przez cały czas dokoła rozlegał się jednostajny odgłos padających kropli...

Stara kobieta nachyliła się nad ogniem. Na poręczach przekrzywionego, wymoszczonego poduszką krzesła zaciskała dłonie, które przypominały orle szpony. Nos też miała jak dziób orła. W świetle płomieni błyszczała jej napięta skóra. Tawny był do Nan bardzo przywiązany. Ogromnie także lubił tę komnatę - surowe kamienne ściany, rozłożoną na podłodze wyliniałą, ale wciąż jeszcze groźnie wyglądającą niedźwiedzią skórę, dziecięcą czaszkę, którą Nan trzymała w niewielkiej alkwie i o której nigdy nie chciała mówić, a nawet mieszaninę zapachu palących się ziół, które wrzucała do kominka, i moczu z rzadko opróżnianego nocnika. Ale z tego wszystkiego najciekawsze było złote, wysokie zwierciadło. W miarę jak Nan zagłębiała się w swoją opowieść, odbicia w jego zmatowiałej tafli rozpląwały się i oczom chłopca - który miał wrażenie, że patrzy przez otwarte na roścież drzwi - ukazywała się stopniowo pełna korzeni, grząska ścieżka, wiodąca przez mroczny, mokry las. Już wkrótce Tawny mógł słyszeć monotony szum deszczu i czuć woń przesiąkniętego wilgocią leśnego powietrza. Siedząc w błogim zaciszu komnaty Nan Adkin patrzył, jak z wodnego wiru wyłania się mieszkający w strumyku duszek, z gęstą czupryną wodorostów na głowie, a uszu chłopca dobiegał dziki śmiech, kiedy młoda Nan błagała o dobrą pogodę na czas zniw. Jak przystało na ciekawą opowieść, bohaterka musiała potem przejść próbę i znalazła się w niebezpieczeństwie. W końcu jednak szczęśliwie powróciła do domu. Tawny niemalże czuł ową miękkość pledu i ów smak zdradliwie rozgrzewającego wina, kiedy Nan, już bezpieczna, siedziała przy ogniu w matczynej chacie.

- I deszcz naprawdę przestał padać? - spytał, gdy tymczasem na tafle zwierciadła wróciło odbicie wnętrza komnaty.

- Następnego dnia świeciło piękne słońce. Ziemia parowała, że aż było biało, i wszędzie rozchodziła się cudowna woń, podobnie przyjemna jak zapach pieczonego chleba.

Tawny westchnął. Poczul się głodny. Poza tym musiał się wysikać: chociaż miał do dyspozycji imponujących rozmiarów nocnik Nan, skorzystanie z niego byłoby nazbyt krępujące.

- Nie powinieneś już wracać, mój drogi? Na te słowa zsunął się z parapetu.

- No, idźże! Zmykaj prędko! Twojej Nan przyniosą niedługo kolację, a to nie będzie ładny widok: papka przypominająca rzygowiny. w której wszystko zawsze smakuje tak samo.

Podszedł i pocałował ją w policzek, który pachniał jak pergamin starej księgi i taki też był w dotyku. Tawny bardzo chciał podziękować Nan, ale nie mógł znaleźć właściwych słów.

Zbiegł błyskawicznie po kręconych schodach, które gdzieniegdzie rozjaśniał czerwonawy blask zachodzącego słońca, sączący się przez szczeliny w murze. Chłopiec był już prawie na dole, kiedy wpadł na matkę.

Dała mu klapsa.

- Znowu byłeś u Nan! Taki wyjątkowy dzień, a ciebie nigdzie nie można znaleźć!

- Dlaczego wyjątkowy?

- Twój ojciec wrócił z wyprawy.

Chwyciwszy Tawny'ego za nadgarstek, pociągnęła go za sobą, a jedwabie i aksamity jej sukni zaszeleściły gniewnie.

- Dokąd idziemy?

- Na spotkanie z królem.

Kiedy znaleźli się na blankach, słony wiatr rozwiał jej długie włosy. Poprowadziła Tawny'ego przez drzwi, których sam nigdy nie ośmieliłby się otworzyć. Przechodzili przez paradne pokoje, gdzie podłogi były z dębowych desek, a na ścianach wisiały arras. Mijali szerokie okna z kolorowymi szybkami i lśniące kandelabry. W końcu zatrzymali się przed ogromnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami, których strzegł halabardnik.

Matka wyjęła z rękawa koronkową chusteczkę.

-Chodź tu. Napluj.

Gdy to zrobił, obtarła mu nieco twarz z brudu, nie bawiąc się w delikatność. Z chusteczki doleciała go słodka woń lawendy.

- No, już.

Wyprostowała się, poprawiła suknię i przyglądała włosy. Kiedy halabardnik otworzył drzwi, weszli do środka.

Tawny nigdy wcześniej nie widział tak wielkiej sali, ani też żadnego miejsca

wypełnionego takim tłumem ludzi. Przy końcu szerokiego przejścia pomiędzy rzędami ław, na których siedzieli rycerze i inni szlachetnie urodzeni panowie, ubrani w olśniewające paradne stroje, na ogromnym, złotym tronie spoczywał król.

Matka i syn zmierzali w jego stronę. Ku zdziwieniu chłopca wzdłuż ław przebiegł szmer pochlebnych uwag. Znalazłszy się przed królewskim majestatem, Tawny zobaczył, że pomimo gigantycznych rozmiarów tronu władca ledwo się na nim mieści. Chłopiec naliczył u monarchy co najmniej pięć podbródków.

- Wasza Wysokość.

Matka złożyła głęboki ukłon i mocnym szarpnięciem zmusiła Tawny'ego, by i ten się schylił. Kiedy król skinął głową, zasiedli w pierwszym rzędzie.

Nagle rozbrzmiały trąbki, aż Tawny podskoczył. Otwarto szerokie drzwi w drugim końcu sali i wszyscy, z wyjątkiem króla, podnieśli się z miejsc. Do środka wkroczył ojciec Tawny'ego. Ponieważ był w pełnej zbroi, każdemu jego stąpięciu towarzyszył szczeł blach. Rycerz posuwał się wolno, mijając kolejne rzędy pograżonych w ciszy i zdjętych grozą ludzi. W okrytej rękawicą prawej dłoni trzymał coś dużego i ciemnego, co zostawiało na podłodze wilgotny ślad. Tawny przełknął ślinę. Była to porąbana głowa smoka.

- Wasza Wysokość. - Rycerz zdjął poobijany, pordzewiały hełm i ukląkł przed królem.
- Uśmierciłem go na twoją cześć.

Król uniósł dłoń w niedbałym geście, mającym zapewne wyrażać uznanie.

- Dobrze się spisałeś. Zdaj sprawę, jak się wszystko odbyło.

Ojciec Tawny'ego jął opowiadać o trudach wyprawy, krwawej walce i śmierci bestii. W niczym nie przypominało to przygód oglądanych w zwierciadle Nan Adkin, jednak chłopiec -choć napawało go to odrazą - umiał wyobrazić sobie opisywane sceny aż nadto plastycznie. A przy tym ta głowa była tak blisko niego, że czuł mdlący zapach smoczjej krwi, która zalatywała wodorostami, pomieszany ze smrodem, jaki wydzielalo nie myte ciało ojca. Nie ulegało wątpliwości, że głowa smoka została oddzielona od korpusu dosyć dawno, gdyż zaczynała się już rozkładać. Tawny odwrócił od niej wzrok i spojrzał na króla. Monarcha najwyraźniej przysypiał - głowa mu opadała i zamykały się powieki. Tawny zgadywał, że król podobne mrozące krew w żyłach opowieści o tropieniu smoka i wnętrznościach dziewic słyszał już od wielu rycerzy. Istniał pewien rytuał tych powrotów z wypraw, który wymagał, by strudzeni mężczyźni wystawiali na pokaz swoje okropne trofea, i choć nie wszyscy wracali, było w tym coś z zachowania zamkowych kotów, które wiosną przybiegały z łąk, znosząc nie dojezione resztki upolowanych młodych kosów.

Wreszcie ojciec Tawny'ego skończył swoją opowieść. Zapadła kłopotliwa cisza. Król

spął.

- Wasza Wysokość...

Rycerz skłonił głowę i widać było, że nie wie, co ma dalej począć. Kiedy dyskretnie spoglądał na boki, jego wzrok padł na Tawny'ego i twarz mu się rozjaśniła.

- Cieszy mnie, że jest tu dziś ze mną mój syn.

Wszystkie oczy - z wyjątkiem oczu króla - zwróciły się na chłopca. Ten zdobył się na niepewny uśmiech. Tymczasem w sali zaczął narastać pomruk, na który złożyły się powtarzane przez wiele osób dwa słowa: „pomazać go”, „pomazać go”, „pomazać go”.

Wtedy ojciec zrobił coś strasznego. Zanurzył obleczoną w rękawicę dłoń w rozkładającej się smoczej krwi i podszedł do chłopca, wyciągając palce, z których kapłała ciemna maź. Kiedy uczynił mokry znak krzyża na czole syna, Tawny gwałtownie przypomniał sobie, jak bardzo chciało mu się sikać, gdy opuszczał komnatę Nan.

Wieczorem, kiedy Tawny - ciągle jeszcze płonąc ze wstydu - leżał na przykrytej słomą pryczy w swojej izdebce nad pomieszczeniami kuchennymi, zaszedł do niego ojciec. Usiadł, na kufrze obok posłania stawiając grubą świecę.



- No, no, synu. Zdaje się, że urosłeś.

Tawny skinął głową, ale wiedział, że to nieprawda.

- Dziś jest dla mnie, synu, dzień chwały.

- Prze... przepraszam za to, co się stało tam, w sali.

Mężczyzna z uśmiechem pochylił się nad pryczą. W blasku świecy Tawny spostrzegł, że twarz ojca usiana jest zmarszczkami.

- Byłeś po prostu przejęty. W twoim wieku... - Nagle uśmiech ustąpił wyrazowi zakłopotania. - Ile masz lat?

- Dziesięć.

Ojciec poklepał chłopca swoją olbrzymią dłonią. Tawny poczuł się tak, jakby go ktoś wymłócił maczugą.

- No, to już niedługo będziesz się uganiać za dziewczętami.

Tawny wiedział, że ten wielki, wzbudzający strach mężczyzna stara się być miły i przyjacielski, mimo to podczas rozmowy chłopiec potrafił jedynie wystękać kilka nieśmiałych odpowiedzi. Chociaż ojciec wykapał się i przebrał w krótkie spodnie i tunikę, nadal pachniał zbroją, metalem i smarem, a ponadto wydzielał jeszcze inną, nieokreśloną woń, będącą jakby mieszaniną zapachu kurzu, potu, stajni i krwi - zarówno ludzkiej, jak i smoczej.

Na koniec mężczyzna znów dobrodusznie poklepał syna i rzekł:

- No cóż, powinienes spać, jeśli chcesz urosnąć duży i silny. Ja też już idę do łóżka. Mamy z twoją matką spore zaległości... - mrugnął znacząco - ...oj, spore. Jutro także zapowiada się ciekawy dzień. Mistrz Pinnett obiecał, że pozwoli ci popisać się przede mną, i przed całym dworem, twoją walecznością. - Bum. -Przygotował dla ciebie przeciwnika: żywą istotę. - Bum. - Napelnisz mnie dumą, synu. - Bum. - Dobranoc.

Wziął świecę i zostawił chłopca samego w ciemności.

W zwykłych okolicznościach Tawny bardzo lubił czwartkowy ranek - ćwiczenia z bronią i łacinę miał chwilowo za sobą, a następne lekcje zdawały się jedynie bladym cieniem gdzieś tam, na horyzoncie. Dzień był słoneczny, powietrze rześkie, a na wiejącym od morza wietrze łopotał proporzec, jak gdyby naigrawając się z owych szczęśliwych wspomnień. Ten czwartek bowiem miał być inny. Tawny zszedł do sali jadalnej, gdzie ze sklepienia, jak zawsze, spoglądały na niego grające na trąbkach aniołki. Kiedy w ponurym otepieniu siedział przed nie tkniętym śniadaniem, zauważył, że inni chłopcy patrzą na niego z pewnym współczuciem, połączonym z przestraczeniem. Wiadomość o pojedynku z żywą bestią szybko się rozeszła.

Chociaż Tawny modlił się żarliwie, by czas stanął w miejscu, nie wiadomo kiedy zrobiła się godzina dziesiąta. Gdy chłopiec wyszedł na dziedziniec, mając na sobie ciężką, drapiącą koleczugę, co najmniej o dwa rozmiary za dużą, odniósł wrażenie, że zgromadzili się tam wszyscy mieszkańcy zamku. Na podwyższeniu ustawionym obok wieży, pod trzepoczącym na wietrze żółtym baldachimem, siedzieli jego rodzice oraz wiele innych dam i rycerzy, zaś wokół dziedzińca zebrali się niemal wszyscy ludzie, których znał (ale nie było Nan Adkin), a także wielu takich, których widział po raz pierwszy. Pośrodku pustego dziedzińca stał Mistrz Pinnett - z założonymi na piersiach muskularnymi rękami i złośliwym uśmieszkiem na twarzy.

Jeden z kolegów Tawny'ego wystąpił na zalany słonecznym blaskiem plac i zaprezentował chłopcu prawdziwy miecz. Tawny'emu wystarczyło, że na niego popatrzył, by poczuć, jak jest ostry. Chwycił rękojeść obiema dłońmi - miecz był niewiarygodnie ciężki. Nie mogąc go utrzymać, szurnął ostrzem po ziemi, wzniesając kurz i łamiąc jedną z

kardynalnych zasad sztuki posługiwania się tą bronią.

- Wynieść ofiarę! - huknął Mistrz Pinnett i na dziedziniec wyszło czterech młodych giermków.

Na dwóch dragach dźwigali wielki, ciężki kosz, co wyglądało, jakby nieśli lektykę. Postawili go między Mistrzem i Tawnym, a następnie w twardą ziemię wbili pal i przywiązali do niego powróż. Wraz z ostatnim uderzeniem drewnianego młota na dziedzińcu zapanowała cisza. Giermkowie wycofali się.

Tłum stał całkowicie nieruchomo. Tawny słyszał szum fal rozbijających się o skalisty brzeg i łopot chorągwi poruszanych przez morską bryzę. Kosz zaskrzypiał, a ze środka dobył się odgłos dziwnie przypominający bulgot wrzátku w kociołku. Mistrz Pinnett za pomocą długiej żerdzi powoli wysunął kołek przytrzymujący skobel, po czym kiedy zatyczka upadła na ziemię, oddalił się w stronę widzów z nietypowym dla niego pośpiechem.

Tawny stał pośrodku dziedzińca sam, ze wzrokiem utkwionym w koszu, który znów zaskrzypiał i zakołysał się lekko. Bulgot przybrał na sile, ale po chwili zapadła cisza - złowroga i absolutna, bo nawet morze i wiatr wstrzymały oddech. Nagle wiklinowe drzwiczki zostały gwałtownie wypchnięte i ze środka wyskoczyło coś niebieskiego. Tawny odruchowo zrobił krok do tyłu. W sekundę później w miejscu, gdzie poprzednio była jego głowa, kłapnęły jaskrawe szczęki, a w twarz, buchnął mu kłęb gorącego siarkowego dymu. Zaświstał przywiązany do pala powróż, napięty teraz jak struna. Bestia warknęła i cofnęła się, nie spuszczając z Tawnego dzikich, czerwonych oczu.

Po ludziach przeszedł szmer grozy i zaciekawienia.

- Jaki uroczy! - wykrzyknęła jedna z siedzących na podwyższeniu dam.

Stwór okazał się małym, niebieskim smokiem, który zapewne dopiero przed jakimiś pięcioma dniami wykluł się z jaja. Ogon miał jeszcze skręcony w spiralę, a delikatne skrzydła, z których na razie nie mógł korzystać, leżały mu płasko na grzbiecie. Jednak mimo młodego wieku smok ten przewyższał rozmiarami nawet największego z królewskich dogów i był od niego znacznie silniejszy. Nie mogło mu zagrozić żadne zwierzę mniejsze od dorosłego leśnego tygrysa.

Smok i Tawny nie odrywali od siebie wzroku. Obaj zdawali sobie sprawę, że nic się nie wydarzy, dopóki Tawny nie wejdzie w zasięg powroza; z obowiązkowej lektury bestiariuszy chłopiec wiedział bowiem, że tak młody smok nie może ziać ogniem. (Lekcje z tej dziedziny nie były tak niesympatyczne jak łacina, ale Tawny nie nazwałby owego przedmiotu swoim ulubionym.) Czas mijał i tłum zaczął się niecierpliwić - sama obecność żywej legendarnej bestii na zamkowym dziedzińcu przestała być atrakcją.

- No, ruszże się! - krzyknął jeden z kolegów Tawny'ego.

Utrzymując stały dystans, Tawny przesunął się w lewo. Smok za nim. Pod mieniącymi się łuskami falowały mięśnie. Kiedy Tawny poszedł dla odmiany w prawo, smok także zawrócił. Wobec tego chłopiec uniósł miecz w geście, który miał przestraszyć przeciwnika, i postąpił krok naprzód. Ku jego zdumieniu smok lekko się cofnął. Tawny zrobił więc drugi krok, większy, ale smok cofnął się znowu. Ośmielony takim obrotem sprawy, chłopiec machnął mieczem i zbliżył się do bestii, wchodząc w zasięg powroza. Smok jednak nadal uchylał się od walki, chociaż Tawny w jego spojrzeniu nie mógł wyczytać przyznania się do porażki. Postanowił zrobić jeszcze jeden krok, a wtedy oczy smoka rozżarzyły się, przybierając bardziej intensywne barwę. Im dłużej Tawny o tym myślał, tym silniejsze było jego przekonanie, że stwór dopuszcza go do siebie, by mieć większą swobodę ruchów podczas ataku. Ale skoro jest tak inteligentny, dlaczego nie rozumie, że jakkolwiek się ze mną rozprawi, nie ma żadnych szans ucieczki? - zastanawiał się chłopiec. Nagle oczy smoka zabłysły oślepiająco i znów dał się słyszeć bulgot, po czym z gracją i zwinnością kota bestia zerwała się do skoku.

Tawny zdążył jedynie szurnąć mieczem po ziemi, podnieść go i zamachnąć się niezdarnie - a wszystkie te ruchy nie miały nic wspólnego z tym, czego usiłował nauczyć go Mistrz Pinnett. Chłopiec zacisnął powieki i czekał - doznając nawet pewnego rodzaju ulgi - aż zatopią się w nim ostre kły i szpony. Tymczasem poczuł tylko, jak ciężka klinga opada i coś przecina. Otworzył oczy i stwierdził ze zdumieniem, że smok, ominąwszy go, umyka, ciągnąc za sobą przerąbany powróż, falujący niczym szarfa. Dokoła podniosły się okrzyki trwogi. Ludzie zaczęli pierzchać. Rycerze wołali o broń, damy darły się wniebogłosy. Zaś smok, otoczony gęstym obłokiem kurzu, dał nura we właz do zamkowych piwnic i znikł z pola widzenia.

Przez całe popołudnie w zamku rozlegały się krzyki, walono w rondle i ze strachem penetrowano wszystkie ciemne kąty. Tawny tymczasem schronił się u Nan Adkin.

Uśmieła się, kiedy opowiedział jej, co zaszło.

- No, to jest wśród nas smok. I co teraz? - odezwała się w końcu, ocierając łzy szarą chustką.

- Wszyscy uparcie go szukają. Nawet król kłopotuje się tą sprawą.

- Królowie zawsze się czymś kłopotują. Pamiętam, jak ten, który obecnie nam panuje, miał w zwyczaju dziewczętom wracającym wzdłuż rzeki z pól do wioski pokazywać swoje siedzenie.

- Naprawdę?

Wiadomość o tym, że król robił kiedyś takie dziwne rzeczy, podniosła nieco Tawny'ego na duchu.

- Już wtedy to był niezły gagatek.

- Widziałaś siedzenie króla?

- I jeszcze to i owo. Żal mi tej jego nowej, młodej królowej. Strasznie żal... Arr...

Ten dźwięk zapowiadał kolejną opowieść. Tawny spojrzął wyczekująco w zmatowiałe złote zwierciadło. Odbite w nim wnętrze komnaty stawało się coraz bledsze. Chłopiec poczuł wiew świeżego powietrza na twarzy i zapach lasu - tak mocny i upajający, że mógł pochodzić tylko z przeszłości. Pośród szepczącego listowia igrały promienie letniego słońca, a tymczasem poza lustrem na zakurzoną podłogę komnaty opadały zabłąkane pyłki. Tawny zobaczył dziewczynę z wiklinowym koszykiem. Szła porośniętą mchem i usianą maciupęnkami kwiatuśkami ścieżką, naśladując śpiew ptaków. Była to młoda Nan Adkin. Za chwilę miała się rozpocząć jeszcze jedna z jej przygód. Na twarz chłopca wypełzł uśmiech.

Później, kiedy Nan czuła się już bezpieczna w ramionach przystojnego czarownika, a zwierciadło na nowo stało się zwyczajnym sprzętem, Tawny wrócił do ponurej rzeczywistości - z łaciną i Mistrzem Pinnettem.

- Dlaczego nie mogę nic zrobić jak należy? - jęknął.

- Wiele rzeczy robisz jak należy. Słuchasz opowieści Nan.

- Ale to jest... - Zrobił nieokreślony gest w stronę lustra. Nigdy nie rozmawiali o tym, jak właściwie otwiera się ono na świat tych opowieści, i teraz Tawny nie dokończył w obawie, że czar pryśnie.

- Miałem na myśli rzeczy ważne... to znaczy... łacinę, szermierkę, jazdę konną...

- Kiedy będziesz w moim wieku, zobaczysz, że to, co wydaje się strasznie ważne, wcale takim być nie musi - i na odwrót.

- Ale jeszcze nie jestem w twoim wieku! - burknął, myśląc o tym, jak wiele lat życia ma przed sobą, zanim osiągnie ów błogi stan ducha.

- Przejmujesz się tym wszystkim, bo masz wyobraźnię i jesteś mądrym chłopcem. Po świecie chodzi wielu ludzi zbyt głupich, żeby odczuwać strach. Jak ci chełpliwi rycerze, którzy wędrują bez końca, zabijając niewinne Boże stworzenia.

- Ale smoki to szatańskie nasienie! Pani Kickwood-Waghorn czytała nam wywód świętego Teobalda z...

- Święty Teobald! Też mi wyrocznia! Przypomnij sobie, jak to twoje smoczątko zrobiło wszystkich w konia. Na dziedzińcu potracili głowy, a teraz za nic nie mogą go znaleźć. Smoki są sprytnie jak lisy. Mądre jak książki. Myślisz, że sam z siebie przeciąłeś ten

powróż i pozwoliłeś mu uciec? Przecież to ono kazało ci to zrobić.

Kiedy przy ostatnich słowach przełknęła ślinę, jej usta wyglądały jak pysk ropuchy.

Tawny wolno pokiwał głową. Smok uznał, że zabijając go nic nie zyska. Podobne wyjaśnienie nie przyszło mu wcześniej na myśl.

Z dołu dobiegły go przytłumione nawoływania - przyszła kolej na przetrząśnięcie opuszczonych pomieszczeń w starej wieży.

- Chyba pójdę i pomogę go szukać - rzekł w końcu.

Podczas gdy wszyscy robili mnóstwo hałasu, wprowadzając zamieszanie wśród szcurów, myszy, nietoperzy, karaluchów i spiżarnianych skrzatów zamieszkujących zamkowe norki i zakamarki, Tawny postanowił wszcząć poszukiwania na własną rękę, i to możliwie dyskretnie. Zadał sobie pytanie, które nigdy wcześniej nie przyszłoby mu do głowy: co by zrobił, gdyby był smokiem? Czy przycupnąłby w jednym miejscu, czy też zmieniałby kryjówki? Czy czekałby, aż skrzydła urosną mu na tyle, żeby móc wznieść się w powietrze? Jako że domem smoków były jaskinie, ten prawdopodobnie najlepiej czułby się pod kamiennymi sklepieniami piwnic. Nawet gdyby udało mu się wydostać z zamku, ucieczka po płaskim terenie w głąb kraju byłaby niemożliwa, zaś żeby przebyć morze, musiałby umieć latać. Smoki widziały w ciemnościach znacznie lepiej niż ludzie, toteż ten mógł wpaść na pomysł, żeby ukryć się w jakimś całkowicie nie oświetlonym kącie, gdzie nikt nie byłby w stanie do niego dotrzeć - nikt, z wyjątkiem małego chłopca. Na przykład w pustych beczkach na jabłka, stojących w najgłębiej położonej części piwnic. Nawet Tawny'emu trudno było się tam wśliznąć przez otwór pod niskim stropem. Tak, gdyby był smokiem, właśnie tam by się zaszył.

Schodził coraz niżej, posuwając się ostrożnie - początkowo jeszcze w bladym świetle dziennym, później zaś w przyćmionym blasku kopcejących, z rzadka rozmieszczonych na ścianach kaganków, które nie pozwalały zobaczyć zbyt wiele. Wreszcie dotarł do miejsca, skąd słychać było przytłumione dudnienie fal, uderzających gdzieś ponad sklepieniem o urwisty brzeg. I właśnie tam dostrzegł wysokie, niewyraźnie zarysowane sylwetki pustych, zapomnianych beczek, które sięgały niemal do ociekającego słoną wilgocią stropu. Wspiął się na wierzch pierwszego rzędu i zaczął pełznąć po pokrywach, ocierając się plecami o sklepienie. Otaczały go takie ciemności, iż zwątpił, że dojrzy smoka, nawet gdyby tam był. Nie miał się czego trzymać, a kamienie, których dotykał, były obrzydliwie oślizłe. Beczki zakołysały się i zaskrzypiały złowrogo. Oczyma wyobraźni widział tłuste pająki i inne żądne krwi poczwary, które mogły czatować na niego w czeluściach za okrągłymi otworami, ale parł naprzód, powtarzając sobie, że nie ma nic gorszego od smoka - no, może z wyjątkiem

Mistrza Pinnetta. Naraz zobaczył, że w beczce na samym końcu rzędu coś się czerwieni. Powoli, najciszej jak potrafił, zbliżył się do niej i zajrzał do środka.

Smok leżał zwinięty w kłębek. Zdawało się, że śpi. Jego oddech brzmiał jak trzaskanie płomieni, łuski lśniły pięknym, niesamowitym błękitem, a z półotwartej paszczy wyzierała ognista czerwień. Tawny podsunął się, żeby lepiej widzieć. I wtedy ześliznęła mu się ręka. Krzyknął. Usiłował ponownie się czegoś złapać - ale było za późno. Gdy spadł, smok odwinął się niczym lina. Tawny, nie dotknąwszy nawet dna beczki, poczuł na sobie szpony, a w twarz uderzył go oddech gorący niczym podmuch z otwartego pieca. Po raz drugi tego dnia chłopiec zacisnął powieki, czekając, kiedy smok rozerwie go na strzępy. Czekał i czekał. W końcu otworzył oczy. Głowa smoka nadal była tuż, tuż. Tawny, patrząc na niego, odniósł wrażenie, jakby stwór kogoś w nim rozpoznał, coś sobie uprzytomnił. No tak, nawet smok się zorientował, że on, Tawny, jest zupełnie niegroźny. Wobec tego nie wydrze mu serca, tylko zapewne upiecze go niespiesznie w swoim oddechu.

- No, dalejże - odezwał się zdławionym głosem. - Czemu nie zaczynasz? Nie przypominam mojego ojca. Nie ma sensu udawać. On jest wielki i silny, a ja... ja... - Raptem się rozplakał.

Ku swemu zdumieniu poczuł, że twarde jak stal szpony wypuszczają go z uścisku. Chociaż w beczce było bardzo ciasno, smok zdołał się odsunąć na tyle, by chłopiec mógł usiąść z plecami opartymi o ściankę i podciągniętymi kolanami.

- Nie zabijesz mnie? - spytał Tawny pociągając nosem. Oczy smoka odpowiedziały: „Nie”.

- Dlaczego?

Smok zamrugał powiekami.

- Pewnie śmiejesz się ze mnie jak wszyscy. Oczy smoka powiedziały: „Nie”.

- Nie możemy tu siedzieć bez końca. Oczy smoka powiedziały: „Wolność”.

- Ale jak mógłbyś uciec? Jeszcze nie możesz latać.

Tawny zauważył, że smok wygląda na głodnego i zmęczonego. Jego oczy mówiły: „Jeść, proszę, jeść”.

- Jesteś ponoć moim naturalnym wrogiem, jak na przykład... lwy czy mantykory. Smok zamrugał. Umrzeć - to byłoby zbyt proste. Tawny wiedział, że będzie musiał mu pomóc.

Dorosły smok mógł całymi latami spać zwinięty w kłębek wewnątrz góry, ale smocze dziecko, żeby żyć, potrzebowało furi jedzenia. Tawny nie miał pojęcia, co zwykle jedzą małe smoki - czy matki dają im mleko albo, podobnie jak to się dzieje u wielkich ptaków,

przynoszą do gniazda strzępy mięsa, czy po prostu zostawiają potomstwo, by radziło sobie samo. Niebawem jednak chłopiec przekonał się, że ten osobnik pochłania wszystko. Owo nienasycone stworzenie nie przepadało wprawdzie za świeżymi owocami, za to szczególnie gustowało w imbirowych sucharach, musztardzie - słowem, w ostro przyprawionych i do tego gorących potrawach. Nawet gdyby Tawny sam morzył się głodem i wynosił z sali jadalnej całe swoje posiłki, i tak by to nie wystarczyło. Apetyt smoka przechodził wszelkie wyobrażenia. Tawny nie miał wyboru - musiał zostać spiżarnianym rabusiem. Oczywiście, znikanie szynek, bochenków chleba, garnuszków marmolady i pudełek pieprzu nie pozostawało nie zauważone, ale ponieważ jedzenie z kuchni ginęło zawsze, nasilenie się tego zjawiska przypisano wyłącznie postępującemu ogólnemu zepsuciu. Po kilku dniach wszyscy uznali, że smok albo zdechł, albo uciekł; nikomu nie przyszłoby do głowy, że mógł znaleźć w zamku sprzymierzeńca.

Stała się rzecz zadziwiająca: chociaż Tawny sobie i swojej rodzinie narobił wstydu pozwalając smokowi na ucieczkę, nie przejmował się zbytnio szyderczymi uwagami, jakie przez kilka następnych dni kierowali pod jego adresem nauczyciele, koledzy i inni mieszkańcy zamku. Miał swój sekret - sekret tak ważny, że na myśl o nim, czyli nieustannie, uśmiechał się tajemniczo.

Kiedy we wtorkowy wieczór znów przyszedł go odwiedzić ojciec, Tawny ni stąd, ni zowąd poczuł, że bardzo kocha tego potężnego, niedostępnego człowieka, który pojawił się w blasku świecy przy jego pryczy.

Ojciec usiadł, poklepał go pieszczotliwie, po czym zapatrzył się, zakłopotany, na cienie tańczące po ścianach izby. Najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Poruszał masywną szczęką, ale wciąż nie padały żadne słowa. Wreszcie Tawny, chcąc dodać mu odwagi, zdecydował się przerwać milczenie.

- Podobało ci się na wyprawie?
- Co?... A, na wyprawie. Nie wyruszam na nie dla przyjemności, synu.
- Więc po co?
- Dlaczego rycerze jeżdżą na wyprawy? No cóż... A dlaczego ptaki latają, ryby pływają...?
- Bo lubią.
- Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, że pewne rzeczy robi się, bo tak trzeba, i własne upodobania nie mają z tym nic wspólnego. Chcę powiedzieć... Ten zamek jest moim domem. Mieszka tu twoja matka, mieszkasz ty. Tutaj... - przełknął ślinę i wtedy uwagę Tawny'ego zwróciły napięte mięśnie jego twarzy - ...zostawiam swoje serce. Ale nie mogę

dłużej zwlekać. Wzywa mnie powinność...

- Chcesz wyruszyć na jakąś wyjątkową wyprawę?

- No cóż, zaglądałem już w Bezdenną Otchłań, uśmierciłem trzy mantykory, o mały włos w pojedynkę uratowałbym pewną wioskę od napadu wilkołaków, gdyby nie sprzyjała czarownikowi Alzisowi, a także - jak wiesz - zabiłem smoka. Chyba już czas przedsięwziąć wyprawę, o której w głębi ducha marzą wszyscy rycerze - wyprawę do Niebezpiecznej Kaplicy.

- Ale stamtąd nikt nie wraca.

- Dlatego właśnie, synu, jest to najważniejsza i najszlachetniejsza z wypraw.

Tawny pokiwał głową. Słyszał, że niektórzy starsi i cyniczni rycerze uważali owo pragnienie dotarcia do Niebezpiecznej Kaplicy za zwiastun obłąkania, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu się z ojcem spierać. Zapytał tylko:

- Co zrobisz, kiedy się tam dostaniesz?

W blasku świecy zobaczył, że mięśnie twarzy ojca znów ściągnęły się i naprężyły.

- Znajdę... znajdę, czego szukam. I mam nadzieję, że pewnego dnia, synu, i ciebie tam zobaczą. Nie przejmuj się, że popełniasz... błędy. Nie wątpię, że kiedyś ty także tam dotrzesz. Już wyobrażam sobie ciebie na rumaku - dumnego, z mieczem zboczonym krwią i laną noszącą ślady wielu starc... - Poklepał syna, mocniej niż zazwyczaj, a potem wstał, uderzając głową o niski sufit. - Trafisz tam, synu, zobaczysz. Nie martw się o... o nic.

- Dobranoc.

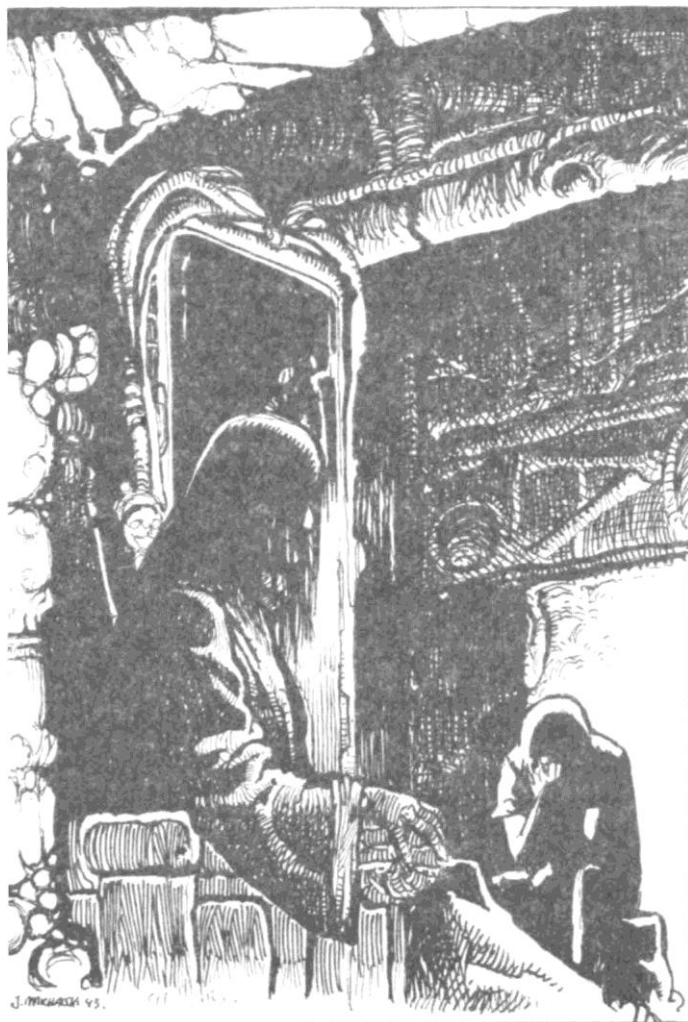
- No cóż. Tak. Dobranoc.

Tawny czekał, aż ucichną kroki ojca, który schodził na dół po skrzypiących stopniach. Potem chłopiec leżał jeszcze przez kilka minut i słuchał wiatru zawodzącego w wąziutkich otworach okien i szparach w dachu. Wreszcie podniósł się, spuścił stopy z pryczy, ostrożnie stawiając je na chropowatych deskach, a następnie podszedł na palcach do stosu ubrań i wziął z wierzchu uprzednio przygotowany ciemny płaszcz. Wkładając go na cienką nocną koszulę, powoli otworzył niskie drzwi, których zawiasy wcześniej po kryjomu naoliwił. Chyłkiem zszedł po schodach. Przemknął obok izb, gdzie mieszkali jego koledzy. Przez szczeliny wokół framug wprawdzie nie przesączało się światło, ale prawdopodobnie niektórzy z chłopców jeszcze nie spali - pałac świeczkę bez ważnego powodu, można się było narazić na gniew Mistrza Pinnetta. Kiedy Tawny znalazł się na dole, miał do przebycia długi korytarz, oświetlony migoczącymi i kopącymi płomykami kaganków. Korytarz nauczycielski. Dla Tawny'ego bardziej przerażający niż tajemnicze komnaty w wieży wiedźmy Desrenee na Bagnach Rozpaczy, wyłożone od podłogi po sufit - tak przynajmniej twierdzono - kośćmi

ofiar. Tutaj jedynie cienka ściana oddzielała go od upiornych postaci, rzucających się po swoich legowiskach - czyli od Mistrza Pinnetta, pani Kickwood-Waghorn, Mistrza Fergusa z jednym, szalonym okiem, wreszcie od ojca Hogga, który uczył łaciny, jak oprawca uczy swoje ofiary bólu. Pochylając się nisko i wstrzymując oddech, Tawny przebiegł korytarz. Przez straszną chwilę klamka w drzwiach na jego drugim końcu stawiała opór, ale wkrótce chłopiec był już na blankach.

Nabrał w płuca chłodnego, nocnego powietrza. Jasny sierp księżyca oblewał srebrnym blaskiem kłęby chmur, nierówne mury wież i fale rozpryskujące się na skałach w dole. Na blankach, dziedzińcach, schodach i w punktach obserwacyjnych nie było żywego ducha. Król akurat nie prowadził z nikim wojny, toteż nocna straż została zredukowana do pięciu ludzi. Ci zaś ciągnęli losy, kto może spać, a kto będzie grał w wartowni w karty i uważał na komendanta; rzadko kiedy wychylali nosy na zewnątrz. Tak więc Tawny, mimo że było stosunkowo jasno, nie ryzykował wiele pomykając wzdłuż kreneli, zbiegając po schodach i pod osłoną cieni rzuconych przez mury przedostając się w pośpiechu na drugi koniec głównego dziedzińca.

Wejście do pomieszczeń kuchennych nigdy nie było zamknięte na klucz; uważano, że przywiązane w przedsionku, wiecznie głodne cztery potężne dogi odstraszą amatorów nocnego buszowania po spiżarni. Tawny otworzył masywne drzwi. Wszedłszy do środka zamknął je za sobą i poczekał, aż oczy przyzwyczają mu się do mroku. Psy spały w kącie i wyglądały



Jacek Michalski

Zanim chłopiec zdołał dokończyć, na szynce zacisnęły się szczęki. W minutę po mięsie nie było śladu, a smok kończył ogryzać kość.

- Smakowało?

Smok zamrugał.

Kiedy Tawny podał mu chleb, ten także zniknął w okamgnieniu.

- A teraz twój przysmak: imbirowe suchary.

Tym razem smok jadł wolniej. Podobało mu się, że chłopiec wkłada mu do paszczy po jednym kąsku. Tawny uśmiechnął się na myśl o tym, jaką minę miałby jego ojciec, gdyby zobaczył, że syn karmi sucharkami prawdziwego smoka, a ten je mu z ręki jak papuga Alfie, ulubienica matki.

- Chyba muszę ci dać jakieś imię - powiedział.

Smok na chwilę przerwał jedzenie. Jego spojrzenie przestało być przyjazne.

- Prze... przepraszam - rzekł szybko Tawny. - Masz rację, smoki to nie papugi czy pieski. To istoty wyjątkowe, potężne i straszne. Mają swoje własne imiona i tajemniczy język, starszy niż ludzkość.

Kiedy wszystkie suchary zostały zjedzone, Tawny wgramolił się do beczki, żeby ułożyć na nowo posłanie z worków, dokładając przyniesione sztuki. Teraz było tam jeszcze ciaśniej. Smok urósł, a skrzydła na grzbiecie sterczały mu już dumnie, sprawiając wrażenie, że stwór z powodzeniem mógłby się wzbić na nich w powietrze.

- No i co zrobimy? - spytał chłopiec.

Smok zatopił w nim spojrzenie. Tawny'emu owiał twarz ciepły oddech, łagodny jak promienie słońca. Chłopiec znał odpowiedź. Nadszedł czas dopomóc w ucieczce. Miejscem smoka były góry. Kryjówka na dnie beczki stanowiła dla niego niewolę równie okrutną i sprzeczną z jego naturą, jak wcześniej wiklinowy kosz. Ucieczka. Nie było sensu jej odkładać, zwłaszcza że każda następna nocna eskapada do piwnic zwiększała niebezpieczeństwo wpadki. Tawny zdecydował, że następnej nocy zaprowadzi smoka na blanki, skąd będzie on mógł wzlecieć ponad morze i wydostać się na wolność.

- Zatem postanowione - rzekł dotykając ciepłego karku stwora. - Jutro w nocy... to będzie środa... pomogę ci.

Kiedy to mówił, serce ścisnął mu żal, że ta wspaniała, zagadkowa istota już wkrótce odejdzie z jego życia na zawsze.

Ponury środowy ranek spędził Tawny u Nan Adkin. Trapiło go parę spraw - nie tylko planowana ucieczka smoka, ale także popołudniowa lekcja łaciny i ćwiczenia z bronią. Nan opowiedziała chłopcu wyjątkowo ciekawą historyjkę - chwilami zabawną, chwilami smutną. Tawny z wdzięcznością patrzył w czarodziejskie zwierciadło i podziwiał rozciągający się po jego drugiej stronie świat, gdzie śmiech i łzy przeplatały się ze sobą jak podmuchy wiosennego wiatru nad lasem.

Obraz dawno zniknął, a Tawny wciąż siedział w milczeniu. Teraz, gdy smok miał odejść, okropna perspektywa popołudniowych lekcji przytłaczała chłopca bardziej niż kiedykolwiek. Zaś jeszcze gorsza była myśl o długich tygodniach, miesiącach i latach życia, które upłyną mu bez tego niezwykłego druha. Obawiał się, że już zawsze będzie doświadczał tylko upokorzeń, strachu i przepełnionej marzeniami samotności.

Zgięta w pałąk Nan siedziała bez ruchu, a jej błyszczące w świetle płomieni oczy wlepione były w Tawny'ego.

- Niektórych tajemnic - odezwała się wreszcie - nie warto zachowywać. Ale niektóre tak. Ty masz i jedno, i drugie, mój chłopcze. I te tajemnice dotyczą ważnych spraw.

Tawny zaczął się wiercić, zmieszany. Chciał opowiedzieć jej o smoku, ale stale to odkładał, a teraz wołał poczekać, aż jego podopieczny odleci na wolność.

- Zawsze staram się być uczciwy - odrzekł ochryłym głosem.
- Uczciwość ma niewiele wspólnego z okłamywaniem ludzi.

Na kominku trzasnął ogień, posypały się iskry. Tawny siedział wpatrzony w płomienie, żeby uniknąć wzroku Nan. Wielki zegar nieba nieubłaganie odmierzał czas - nadciągała pora łaciny i szermierki. Nawet ogień zdawał się chłopcu współczuć: z paleniska zaczęło dymić, a płomienie skurczyły się do niebieskozielonych języczków, pozwalając, by z kątów wypełzły posępne cienie.

- Historie, które ja ci opowiadam, są prawdziwe - dodała Nan.

Z brzmienia jej głosu Tawny wyczuł, że nadal nie odrywa od niego oczu i przewierca go spojrzeniem na wylot.

- One zawsze dobrze się kończą - rzekł i mówiąc to poczerwieniał na twarzy, chociaż ogień w kominku prawie wygasł.

- Ale pomyśl o tym, co zazwyczaj dzieje się wcześniej. Na przykład: kiedy byłam na łasce wodnego duszka, skąd mogłam wiedzieć, że wszystko skończy się szczęśliwie?

Tawny nic nie odrzekł. Nie miał serca powiedzieć starej kobiecie, że już nie wierzy, aby te jej historyjki były prawdziwe.

Ogień ledwie się tlił. Przez wąskie okna przesączało się szare światło zimnego ranka. Z daleka doleciał słaby krzyk mewy.

- Być może pewnego dnia, kiedy twojej Nan już dawno nie będzie, te nasze spotkania również utrwala się w jakiejś opowieści - rzekła w zadumie. - Wyobraź sobie: dwa zwietrzałe posągi siedzące tu przy kominku. To pewnie będzie smutne, ale przecież żadna opowieść nie może obejść się bez nuty żalu i melancholii.

Tawny'emu już od dawna wzbierały pod powiekami łzy. Ostatnie słowa Nan sprawiły, że nie mógł ich dłużej powściągnąć - zaniósł się głośnym, spazmatycznym szlochem, który wstrząsał jego barkami.

- Chodź do mnie, mój mały.

Kiedy Nan wyciągnęła ręce, Tawny podszedł do niej niezgrabnie i ukrył wilgotną twarz w fałdach szala. Trwał tak przez dłuższy czas, otoczony ramionami starej kobiety, wdychając zapach kamfory i łykając słone łzy. Ku swemu zdumieniu usłyszał, że w kominku ogień znów trzaska wesoło, a nawet poczuł na plecach kojące ciepło. Po chwili miał się już lepiej i był prawie gotów stanąć twarzą w twarz ze swoimi srogimi nauczycielami.

Ojciec Hogg był tego dnia w paskudnym humorze. W niewytłumaczalnym przypiływie

pobożności, czy też poczucia winy, król wezwał go w południe do wysłuchania swojej spowiedzi - i to właśnie w chwili, gdy duszpasterz zabierał się w zakrystii do sprawdzenia jakości mszalnego wina, co stanowiło jego codzienny rytuał. Szczęśliwie dla Tawny'ego nauczyciel był do tego stopnia rozdrażniony, że wrzeszczał na wszystkich bez wyjątku i nikomu nie szczędził różg - nawet lizusom z twarzyczkami cherubinków, którzy chodzili do niego na prywatne lekcje i na klasówkach zawsze znali wszystkie odpowiedzi. Tawny oberwał wprawdzie dwa razy za roztargnienie, ale i tak uważał, że mu się upiekło, bo wielu kolegów ucierpiało znacznie bardziej.

Kiedy chłopcy wyszli na główny dziedziniec, Mistrz Pinnett powitał ich szerokim uśmiechem, który upodobił jego usta do paszcz chimer zakańczających zamkowe rynny. Uczniowie z ociąganiem ustawili się w szeregu; Tawny zajął eksponowane miejsce na szarym końcu. Mistrz Pinnett, skrzyżowawszy na piersiach muskularne ramiona, które wyglądały jak splecione korzenie drzewa, przyglądał się wszystkim badawczo. Długo nic nie mówił. Po niebie tymczasem pędziły ciemne smugi chmur, popychane przez zimny, jesienny wiatr, który wzbijał kurz na dziedzińcu i przesywał kurtkę Tawny'ego, sięgając jego serca.

Mistrz Pinnett zaczął przechadzać się wzdłuż szeregu tam i z powrotem.

- Miniony tydzień obfitował w wydarzenia - odezwał się wreszcie zgryźliwym tonem.

Znów wyszczerzył zęby i ten szczególny uśmiech zastygł mu na twarzy. Na taki widok nawet pod najbardziej zapalonymi adeptami sztuki wojennej zatrzęsły się łydki. W obliczu nadciągającej katastrofy instynkt często każe człowiekowi porzucić myśli o groźącym niebezpieczeństwie i zatopić się w czczych rozmyślaniach. Podobnie stało się z Tawnym - zaczął rozważać kwestię, czy robienie takiej miny dłużej niż przez kilka chwil nie jest dla Mistrza zbyt bolesne.

Mistrz nadal się przechadzał i choć trudno było w to uwierzyć, rozciągnął wargi w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Pomyślcie tylko - rzekł. - Jeden z naszych najznakomitszych i najszlachetniejszych rycerzy wrócił z wyprawy, żeby pokazać nam, jak należy uprawiać rycerskie rzemiosło. Ale, oczywiście, my już wiemy jak. Z odwagą i klasą!

Zatrzymał się w połowie szeregu przed jakimś pechowym, drżącym ze strachu młodzieńcem.

- No więc, jak powinno się je uprawiać?

- Z odwagą i klasą, panie.

- Nie mów do mnie „panie”, ty idioto! Nie jestem cholernym rycerzem! Jestem

Mistrzem Pinnettem! Mistrzem Pinnettem, który zorganizował specjalne przedstawienie, żeby

pokazać, jakąż to gromadkę zuchów ma pod opieką. I co się stało? Kłapa -oto, co się stało. Co to było?

- Kłapa, M... Mistrzu Pinnetcie.

Mistrz znów ruszył wzdłuż szeregu, a jego nie słabnący uśmiech przywodził na myśl skoncentrowany ostrzał armatni. Tawny był zdumiony i szczęśliwy, że do tej pory wściekłość Pinnetta nie skrupiła się na nim. Zdawało się, że tego dnia Mistrz - podobnie jak ojciec Hogg - swoją złość wyładowuje na wszystkich bez różnicy. W każdym razie Tawny prawie w to uwierzył.

- Dlatego uznałem, że byłem dotąd zbyt łagodny. - Przez ten swój uśmiech, lub może zwykle nieuctwo, słowo „łagodny” wypowiedział tak, jakby było ono francuskie. Nikt nie okazał się na tyle głupi, żeby zachichotać. - Byłem zbyt łagodny. Za miękki. Jak dobra ciocia. No więc, jaki byłem?

- Jak dobra ciocia, Mistrzu Pinnetcie! - zaskowyczał maltretowany chłopak.

- O, tak. Byłem o wiele za dobry. Toteż od dzisiaj zaprowadzam nowy regiment. - Pinnett doszedł do końca szeregu i zatrzymał się naprzeciw Tawny'ego. - Co będzie od dziś?

- Nowy reżym, Mistrzu Pinnetcie.

- Nowy regiment. - Pinnett poprawił go z taką dobroduszością w głosie, od której chłopca przenikł zimny dreszcz.

Mistrz prześliznął się wzrokiem po szeregu.

- Ty tam, chłopcze. Podaj mi ćwiczebny miecz.

Teraz złowieszczy uśmiech Pinnetta przeznaczony był już tylko dla Tawny'ego. Mężczyzna miał mięśnie twarzy do tego stopnia naciągnięte, że chłopcu wydawało się, iż lada chwila nauczycielowi pękną policzki. Mistrz mówił coraz bardziej zniekształconym głosem.

- I podaj też jeden temu oto mojemu przyjacielowi. Będziecie mieli lekcję poglądową, której nigdy nie zapomnicie... chociaż niektórzy będą chcieli ją zapomnieć.

Pojedynek z Mistrzem Pinnettem. Ku swemu zdziwieniu Tawny nie czuł szczególnego strachu, kiedy wychodził na środek dziedzińca, ciągnąc za sobą ćwiczebny miecz. W końcu drewniana klinga w rękach tego człowieka mogła jedynie połamać nogi albo rozłupać czaszkę. Tawny pomyślał z zadowoleniem, że przynajmniej już niedługo będzie miał wszystko z głowy; tknęło go bowiem przeczucie, iż - tak czy owak - jest to jego ostatnia lekcja szermierki. Na zawsze.

Mistrz, oddalony od Tawny'ego o kilka stóp, zakreślił swoim mieczem efektowne, wielkie półkole. Świsnęło ostrze przecinające powietrze. W powstałym podmuchu do chłopca doleciał smród ciała Pinnetta. Tawny zmarszczył nos. Gdyby nie wiedział, że jest inaczej,

rzekłby, iż to zapach strachu.

- Zauważcie - zwrócił się Mistrz do chłopców w szeregu, nie przestając wyszczerzać zębów - że posługuję się tylko lewą ręką. Chcę, żeby to była równa walka.

Koledzy Tawny'ego mieli ponure miny. Zwykle chętnie oglądali, jak ktoś dostawał łupnia, ale teraz nawet najgłupszy z nich wyczuwał, że nauczyciel posuwa się za daleko.

Mistrz Pinnett odwrócił się i stanął przodem do Tawny'ego, gotów do skoku.

- Zaraz zobaczymy, z czego jesteś ulepiony.

Uśmiech wreszcie zszedł mu z warg. Ale Tawny, ujrawszy nowy wyraz jego twarzy, zatęsknił za widokiem poprzedniego grymasu. Kiedy Mistrz Pinnett, szykując się do ataku, delikatnie drasnął powietrze koniuszkiem miecza, chłopiec pomyślał, że tak samo jak on w tej chwili musiał się czuć smok. Wiedział, że czy będzie walczył, czy nie, i tak nie wygra. Ostrze miecza Tawny'ego nadal tkwiło zaryte w ziemi. Chłopiec nie próbował go podnieść, domyślając się, że gdyby to zrobił, Mistrz Pinnett potraktowałby ten ruch jako sygnał do uderzenia. Jednak w pełnym wściekłości spojrzeniu nauczyciela widać już było rosnące zniecierpliwienie. Tak, gra na zwłokę wydawała się jakimś wyjściem.

- Przepraszam, ale... - Tawny usiłował przełknąć ślinę; gardło miał jak szyb pustej studni - ...z tym mieczem coś chyba... - nakreślił ostrzem w pyłe literę T - ...jest nie w porządku.

-Co?

- Nie jest właściwie wyważony.

- Weź ten, ty idioto!

Mistrz Pinnett rzucił mu swój, mierząc w twarz. Tawny poderwał drewnianą klingę i zasłonił się, zmieniając tor lotu wirującego w powietrzu miecza, który uderzył go jedynie w przedramię i dwukrotnie odbił się od ziemi. Kiedy chłopiec go podniósł, stwierdził, że - choć jest dłuższy - waży tyle samo co poprzedni.

- Chłopcze! - Pinnett odwrócił się w stronę szeregu. - Daj mi inny...

Nie dokończył, gdyż Tawny podszedł do niego szybkim krokiem i obiema dłońmi trzymając miecz na sztorc, pchnął go nim w twarz. Raz i drugi. Z całej siły. Potem upuścił broń i rzucił się do ucieczki, a tymczasem po zamku odbił się echem straszliwy, przejmujący dreszczem ryk.

Było tylko jedno miejsce, gdzie Tawny mógł się schować. Chlipiąc i potykając się co krok, biegł ciemnymi, rozbrzmiewającymi echem korytarzami, a przed oczyma wciąż wirowały mu migawki ze sceny, która rozegrała się na dziedzińcu, kiedy to ośmielił się zaatakować Mistrza Pinnetta. Smok spał. Ale gdy chłopiec, wycieńczony i rozdygotany,

wgramolił się do beczki, stwór skoczył na równe nogi i zasyczał, wysuwając szpony w obronnym odruchu. Chociaż urósł przez tydzień przebywania w ukryciu, zdołał zrobić Tawny'emu trochę miejsca. Zanim chłopiec zdążył wybełkotać półgłosem przez łyż słowa wyjaśnienia, smok wszystko zrozumiał. Teraz obaj byli uciekinierami.

Tawny przykucnął w delikatnej poświacie bijącej od smoczych łusek, obserwowany przez parę czerwonych oczu, które płonęły przedwiecznym ogniem. W pewnej chwili chłopiec zorientował się, że te oczy przykuwają całą jego uwagę. „Kiedyś - mówiły - świat był świeży jak poranek. Kiedyś kwiaty i drzewa rozkoszowały się ciepłem ledwie co rozgorzałego słońca. Niebo było bardziej niebieskie, a białe góry, które się ku niemu piętrzyły, były ogrodami bogów. Czyste powietrze sprawiało, że nawet oddychanie stanowiło przyjemność. Od wschodu do zachodu słońca trwał nieustanny koncert ptasiego chóru. Zaś najcudowniejsza ze wszystkiego była noc: spomiędzy gwiazd spływał na Ziemię mrok, który osłaniał tajemnicę miłości.”

- I co się z tym stało? - spytał Tawny, zmieniając pozycję, bo zdrętwiały mu już nogi.

„Pojawił się człowiek” - powiedziały oczy smoka. „Zabrał ptakom pióra do swoich strzał. Bobrom i mrówkom wykradł tajniki budowania. Smokom skradł tajemnicę ognia. Być może nawet pewnego dnia bogom ukradnie sekret rażenia piorunem.”

- I to wszystko zdarzyło się dawno temu? - zapytał półgłosem Tawny.

Ciepły dotąd oddech smoka zaczął parzyć. „Bardzo dawno temu. W Zaraniu Dziejów. Zanim jeszcze Melinok cisnął koronę Neptuna pomiędzy gwiazdy i wzniecił wojnę morza z lądem.”

- Ale... ale Nan Adkin opowiada mi różne historie z czasów, kiedy świat był piękniejszy, a wszystko, co opisuje, działo się wtedy, gdy była młoda. Nan jest zwykłym śmiertelnikiem, więc te czasy nie mogły być zbyt odległe. Ona nawet otwiera zwierciadło, w którym pokazuje się miniony świat. Wszystko, co tam widziałem, wyglądało dokładnie tak, jak mówisz: było lepsze.

Smok wbił w Tawny'ego spojrzenie. „Skoro patrzysz przez zwierciadło, dzieje się to za sprawą magii, a wszelka magia wywodzi się z Zarania Dziejów.”

- Ale skąd ty to wszystko wiesz? - Tawny zrobił pauzę, zastanawiając się, czy ryzykować gniew smoka. - Jesteś taki młody...

Stwór nie poczuł się dotknięty. „Niektóre istoty - powiedziały jego oczy - rodzą się już z pewnym zasobem doświadczeń. Smoki. Orły. Hipogryf - uskrzydłony koń, który przychodzi na świat w chmurach i wraz z pierwszym oddechem musi nauczyć się latać, bo inaczej spadłby na ziemię i zginął. Rodzi się z tą znajomością rzeczy, podobnie jak ryjówka rodzi się

z wpisaniem w swą naturę strachem. Człowiek również jest taką istotą. Kiedy wychodzi z łona matki, krzyczy, ponieważ pamięta czasy Zaranja Dziejów, a trafia do Teraźniejszości. Przez całe życie stara się o tym zapomnieć, ale w głębi ducha wie, jak piękny był świat w swych początkach, i żał mu, że nigdy tego nie ujrzy. Nie może się z tym pogodzić: zabija, buduje twierdze, uprawia miłość, tworzy muzykę, prowadzi wojny - a jednak jego światem pozostaje nadal pozbawiona urody rzeczywistość wieków średnich. Człowiek szybko, zbyt szybko się starzeje i później już nawet Teraźniejszość dnia jego narodzin wydaje mu się cudownym okresem.”

Tawny pokiwał głową. Oczy miał zamknięte. Niepostrzeżenie zapadł w drzemkę. Śnił mu się świat Zaranja Dziejów. Sen był piękny, zbyt piękny, żeby chłopiec zdołał zapamiętać go po przebudzeniu.

Przetarł oczy i wyciągnął się, na ile mógł w ciasnej beczce. Usłyszał odgłos przypominający niskie tony katedralnych organów - to fale uderzały o zamkową skałę. Powietrze w piwnicy było wyjątkowo wilgotne i przesiąknięte solą - jakby morze chciało wdrzeć się do środka. Nadciągał sztorm, pierwszy sztorm tej jesieni. Tawny nie wiedział, czy taka pogoda będzie sprzyjać ucieczce, czy też ją utrudni, jednak stanowczo uznał, że należy podjąć ryzyko.

- Cóż, mam nadzieję, że już możesz latać - rzekł do smoka. - Nie ma czasu na zaprawę. Stwór zamrugał. „A co będzie z tobą, Tawny? Co ty zamierzasz zrobić?”

- Później o tym pomyślę - odpowiedział, wydzwignąwszy się na wierzch beczki. - Na pewno nigdzie nie polecę, ale też nikt nie chce mnie zabić. - Oprócz Mistrza Pinnetta, dodał w duchu. - No, chodź. Dasz radę się stąd wydostać?

Smok zaczął szpony o krawędź beczki. Przez chwilę zachodziła obawa, że jest już za duży, by się precyzyjnie przycisnąć, ale wyciągając się i płaszcząc niczym kot, stwór pokonał wszystkie ciasne przejścia i ruszył wąskim korytarzem krok w krok za Tawnym.

Schodzili coraz niżej. Chłopiec zatrzymał się na chwilę, żeby odsapnąć. Smok bezgłośnie przycupnął obok. Jesteśmy w najniższej położonej części zamkowych podziemi, pomyślał Tawny, niemal pod poziomem morza - i teraz czeka nas długa droga na powierzchnię, potem zaś wspinaczka na blanki, bo tylko stamtąd smok może wylecieć. A przy tym musimy przejść nie zauważeni. Ta wędrówka na pewno godna będzie opowieści Nan Adkin.

Kaganki w piwnicznych korytarzach były pogaszone. Tawny już przywykł do chodzenia wzdłuż wilgotnych ścian w kompletnej ciemności, ale cieszył się, że delikatna poświata, jaka biła od kroczonego u jego boku smoka, odstrasza różne dziwaczne stwory,

które zazwyczaj uderzały w niego ze wszystkich stron. Teraz tylko słyszał, jak świergoczą i szemrzą po dziurach i szczelinach. Rozróżniał nawet niektóre słowa: „chłopiec”, „smok”, „sami”, „zjeść”. To na pewno nie były zwykłe szczury czy nietoperze, więc wcale nie żałował, że wokół panuje mrok -nie chciał ich widzieć. Spojrzał na smoka. Ów wyglądał wspaniale i groźnie zarazem. Przy każdym ruchu łuski migotały mu jak płomienie. Wyraźnie urósł, ale nie tylko na tym polegała przemiana. W porównaniu z tą imponującą istotą o pełnych gracji ruchach smok sprzed tygodnia trochę przypominał szczeniaka. Podczas tej zmuśnionej wędrówki ciemnymi, mokrymi korytarzami, Tawny silniej odczuł zdumienie i lęk pomieszany z zachwytem niż kiedykolwiek indziej, gdy miał do czynienia z magią. Przypomnił sobie, jak pani Kickwood-Waghorn mówiła na którejś lekcji, iż dorosły smok często wcale nie musi

atakować przeciwnika ~ sam jego widok paraliżuje nieprzyjaciół. Dawniej Tawny sądził, że to strach i odraza ścinają krew w żyłach ofiar, ale teraz zrozumiał, że smoki porażają wrogów swoim niewiarygodnym pięknem. Zastanawiał się, w jaki sposób rycerze, którzy pragnęli walczyć z tą bestią, potrafili zdusić w sobie podziw dla jej urody.

Kiedy zbliżyli się do wyjścia, Tawny poczuł i usłyszał wiatr, a i mrok nie był już tak jednolicie nieprzenikniony jak na dole. Dotarłszy do pierwszego okna, na kamiennym sklepieniu składzika na mąkę ujrzeli szarą, pokratkowaną plamę księżycowego światła.

Smokowi oczy zabłyśły z podniecenia; przeskoczył przez worki, żeby wyrzeć na zewnątrz.

- Wracaj - syknął Tawny. - Ktoś może cię zobaczyć! Stwór dołączył do swego przewodnika w lekkim obłoku mącznego pyłu.

- Teraz musimy zachowywać się bardzo cicho - szeptem dodał chłopiec, gdy przemierzali bardziej suche i przewiewne piwnice górnego poziomu.

Smok szedł bezgłośnie; słyhać było jedynie, jak oddycha. Natomiast Tawny, im większych dokładał starań, by zachować ciszę, tym częściej zdarzało mu się szurnać nogą lub kaszlnąć. Działo się tak między innymi dlatego, że był bliski płaczu. Gdyby wszystko poszło dobrze, smok miał wkrótce odlecieć. Tawny uświadomił sobie, że ten tydzień, kiedy opiekował się uciekinierem, był najszcześniejszym okresem w jego życiu. Jeśli zaś sprawa przybierze zły obrót... Pociągnął nosem, ocierając dziurki wierzchem dłoni. Smok popatrzył na niego, wszystko rozumiejąc, i to ciepłe spojrzenie rozjarzonych oczu dodało chłopcu sił.

Mijali długie półki zakurzonych butelek wina, wielkie beczki z piwem i niezliczone warkocze cebuli, które wyglądały jak wiszące nietoperze. Trafili też do pomieszczenia, gdzie składowano zbroje - lśniły niczym woda na głębinie w poświacie księżycy - oraz do

rupieciarni, pełnej niepotrzebnych i połamanych mebli. W tym ostatnim miejscu Tawny zauważył pęknięte złote zwierciadło, ułożone niedbale na szczycie piramidy starych szkolnych ławek. W pewnej chwili lustro jakby odzyskało blask i zaczęło wysyłać własne światło. Chłopiec odniósł wrażenie, że padają na niego potoki słońca i że czuje zapach świeżego siana. Przetarł oczy i potrząsnął głową, chcąc odpędzić złudę. Kiedy spojrział ponownie, zobaczył jedynie pęknięte, brudne szkło w ciemnym kącie.

Tawny wybrał takie wyjście z piwnic, które pozwalało ominąć główny dziedziniec. Zamierzał skorzystać z rzadko używanych, nieco spróchniałych drzwi, które prowadziły do wąskiego przesmyku, jaki tworzyła zachodnia ściana wieży i zewnętrzne mury zamku. Potem czekała ich droga bez żadnej osłony koło zamkowej studni i wspinaczka po kamiennych schodach na blanki, skąd było widać morze. Okazało się, że drzwi są jeszcze bardziej zniszczone niż wówczas, gdy Tawny ostatnim razem je otwierał. Chłopiec musiał naprawdę mocno napierać na zardzewiałe zawiasy i z całych sił pchać miękkie, spuchnięte od wilgoci drewno, które wypełniało nie mniej zbutwiałą framugę - żeby wreszcie drzwi zaskrzypiały, zajęczały i powoli dały się odemknąć. Tawny nie wierzył; żeby ten hałas nikogo nie zaalarmował, ale kiedy wyrzwał, zobaczył tylko pustą, wąską, ocienioną ścieżkę pomiędzy omszałymi murami, która ginęła z oczu za zakrętem. W górze widoczny był pasek nocnego, płynącego jak rzeka nieba. Choć gwiazdy migotały zza zasłony chmur, po godzinach spędzonych w piwnicznym mroku noc na dworze wydawała się jasna.

- Już niedaleko - szepnął Tawny, kiedy szli śliską, kamienną ścieżką.

Popychał ich do przodu sztormowy wiatr, który tłukł się i jęczał pomiędzy murami. Dotarłszy do miejsca, skąd widać było dziedziniec ze studnią, chłopiec zatrzymał się i przywarł plecami do ściany. Wszystko dokoła zalewał srebrny blask półksiężyca, oświetlając między innymi słomiany daszek, który przykrywał ciemny otwór studni. Po chwili jednak na księżyc nasunęła się chmura i światło przygasło. Wtedy Tawny zaczął przemykać się przez dziedziniec, ale obejrzawszy się za siebie stwierdził, że smok nie wyszedł za nim z ukrytego w cieniu przesmyku.

-Gdzie jesteś...?

Nie dokończył, ponieważ na ustach poczuł nagle ciężką, cuchnącą dłoń.

- Ależ cudowną noc mamy dzisiaj - rzekł śpiewnie Mistrz Pinnett. - Nie masz pojęcia, jak uporczywie cię szukałem.

Teraz dłoń jeszcze silniej rozgniałała Tawny'emu usta, zaś muskularne ramię miażdżyło mu klatkę piersiową. Chłopiec nie stawiał oporu, tylko skupił się na oddychaniu. Smoka nadal nigdzie nie było widać.

Mistrz Pinnett zbliżył usta do ucha Tawny'ego. Dyszał mocno.

- Jest późno, paniczu Tawny. Bardzo późno. Wszyscy już śpią, z wyjątkiem ciebie i mnie... Grzeczność nakazuje nam być cicho, żeby nikogo nie obudzić.

Odwrócił Tawny'ego twarzą ku sobie. Chłopiec nabrał powietrza, żeby krzyknąć, ale nie zdążył wydać żadnego dźwięku - obrzydliwa dłoń znów błyskawicznie zatkała mu usta. W prawe oko chłopca boleśnie wbijał się kciuk. Zezując lewym, Tawny zdołał przyjrzeć się swemu prześladowcy. Rany zadane końcem drewnianego miecza były wyraźnie widoczne. Mistrz wyglądał tak, jakby stoczył ciężką walkę na pięści. Miał podbite oko, długą szramę na policzku i rozerwane prawe nozdrze. Tawny odczuł dziką satysfakcję.

Pinnett chyba się tego domyślił, bo silniej wgniół dłoń w twarz chłopca. Teraz Tawny prawie już nie mógł oddychać. Mimo woli zaczął się szamotać. To jednak nie miało sensu - zupełnie jakby próbował mocować się z głazem. Nagle poczuł, że się przewraca i przed oczami zawirowało mu coś jak ciemny, wypełniony szmerem tunel. Przez chwilę myślał, że po prostu traci przytomność, lecz zaraz zrozumiał, że wisi nad otworem studni. Nie pamiętał, co ostatnio jadł, ale cokolwiek to było, koniecznie chciało się wydostać z jego żołądka. Z trudem przełknął ślinę. Nacisk zatykającej mu usta dłoni na moment osłabł i wtedy Tawny szybko nabrał w płuca duży haust powietrza.

- Nie ma pośpiechu - rzekł Mistrz Pinnett, a jego słowa wróciły ze studni zwielokrotnione przez echo. - Szkoda, że zepsujesz wodę. Pomyśl, jak ludzie będą cię przeklinać, kiedy przyjdzie im chodzić z wiadrami aż do wsi. Ale najpierw będą musieli cię znaleźć. Przypuszczam, że woda zacznie cuchnąć dość szybko. Nie znaczy to, że nie przeżyją zaskoczenia.

Tawny poczuł, że Pinnett spuszcza go coraz niżej. W dole chłopiec widział połyskujące słabo kółko wody, które czekało na niego jak otwarta paszcza.

Wreszcie mężczyzna zwolnił chwyt. Ale Tawny, zamiast spadać długo w ciemność, plasnął brzuchem o kamienną krawędź studni. Łapczywie chwytając powietrze, zgięty we dwoje z bólu, stoczył się na cudownie twardy grunt. Mistrz, odwrócony do niego tyłem, stał oko w oko ze smokiem.

- To wszystko były... - Pinnett nie mógł dokończyć, zbyt głośno bowiem dzwoniły mu zęby. Trwał w bezruchu, gdy tymczasem smok gotował się do skoku: miał napięte mięśnie, rozpalone oczy, a jego na wpeł rozwinięte skrzydła trzepotały przy podmuchach wiatru. Z każdym chrapliwym oddechem stwór robił wrażenie coraz potężniejszego. Tawny'emu zdawało się nawet, że widział złocisty język ognia w jego paszczy. Chłopiec znów sobie przypomniał, co pani Kickwood-Waghorn mówiła o paraliżującym działaniu

smoków na ich ofiary. W końcu Mistrz Pinnett nigdy nie zgrywał się na rycerza, pomyślał.

Nagle smok z niezwykłą gracją rzucił się na mężczyznę i wbił szpony w jego ramiona, machając przy tym skrzydłami dla zachowania równowagi. Zaatakowany jęknął i padł na kolana. Ruchy smoka były tak miękkie, że Tawny dopiero po pewnej chwili zorientował się, iż stwór, który przednimi i tylnymi nogami złapał za kark i brodę Mistrza, szykuje się, by urwać mu głowę.

- Nie! - wrzasnął Tawny. - Nie zabijaj go!

Zdezorientowany, ale posłuszny, smok odskoczył od Pinnetta i pozwolił mu upaść na ziemię.

- Szybko! - zawołał chłopiec, wskazując ręką schody wiodące na blanki. - Musisz uciekać!

Wciąż trzymając się za obolały brzuch, Tawny puścił się biegiem ku kamiennym stopniom. Słyszał, jak nad dziedzińcem otwierają się okna, a potem zobaczył ludzi, którzy - wystawiwszy głowy - narzekali na hałas. Kiedy się obejrzał, spostrzegł także, iż Mistrz Pinnett wstaje z ziemi - oszołomiony, ale bez szwanku. Tawny nie żałował, że powstrzymał smoka od zabicia nauczyciela, lecz cieszyłby się, gdyby prześladowca został unieszkodliwiony na jakąś godzinę.

Po chwili Tawny i smok stali już na blankach, ogarniając wzrokiem rozhukane morze, które burzyło się w świetle księżyca. Rozmiatana przez wichry i rozbryzgująca się o nadbrzeżne skały słona piana zraszała skórę chłopca niczym deszcz. Tymczasem na dziedzińcu gromadzili się ludzie - dygotali z zimna w furkoczących na wietrze nocnych koszulach. Mistrz Pinnett pokazywał na blanki i coś wykrzykiwał. Przerażone kobiety przytykały dłonie do ust, mężczyźni potrząsali pięściami, zaś rycerze wymyślali na swoich nieobecnych giermków, że nie przynoszą im zbroi. Jednakże nikt, łącznie z Mistrzem, nie kwapił się z wejściem na górę.

- No, już! - krzyknął Tawny, odwróciwszy się do smoka. -Masz dość czasu. Leć! Leć!

Smok wskoczył na występ muru i rozpostarł skrzydła. Zmagając się z wiatrem, spoglądał niepewnie na Tawny'ego.

- No, leć! - prosił chłopiec.

Zebrani na dziedzińcu ludzie wolno i ostrożnie zbliżali się do kamiennych stopni. Ze dwu rycerzy miało już tarcze i miecze.

- Mną się nie przejmuj. Proszę cię, leć już! No, prędzej... -zamachał rękami - ...sio!

Smok spojrział w dół, a później z powrotem na Tawny'ego. Ogień w jego oczach przygasł. „Nie potrafię”, zdawał się mówić. „Roztrzaskam się o skały. Zginę. Nie umiem

jeszcze latać. Nie umiem. Nie jestem gotowy.”

- Musimy coś wymyślić - rzekł Tawny, oglądając się za siebie.

Był zrozpaczony. Wśród tłumu zapłonęły pochodnie. Po schodach zaczęli się wspinać pierwsi śmiałkowie. Tawny słyszał ich głosy stopione w gniewny pomruk. Tu i ówdzie załśniła stal. Prowodyrem był Mistrz Pinnett, który już całkiem wrócił do siebie.

- Uciekajmy! - wrzasnął Tawny. - Szybko!

Smok zeskoczył z występu muru i popędził za chłopcem wzdłuż blanek. Usłyszeli za sobą ryk tłumu. Owładnięty panicznym przerażeniem, Tawny wpadł na rozklekotaną drewnianą kładkę, która prowadziła do na wpół zrujnowanej wieży. Nabite gwoździami, szerokie drzwi stały otworem. Chłopiec poczekał, aż smok minie próg, a wtedy - z dużym wysiłkiem - zamknął je. Znaleźli się w zaniedbanej sali biesiadnej, gdzie wciąż jeszcze stały zakurzone ławy i stoły. Przez okna, w których tkwiły zaledwie szczątki witraży, wdzierał się blask księżycy oraz sztormowy wiatr. Tawny przyciągnął ze smokiem pod drzwi dwa stoły, barykadując w ten sposób wejście. Kiedy uciekali, dały się już słyszeć wyraźne okrzyki i walenie pięściami, a potem trzask rozłupywanego toporem drewna.

Przebiegali od dawna nie używane paradne komnaty. Pod zarwanymi stropami zwisał zetlały, spowity pajęczynami i zakurzony aksamit, a ze ścian łuszczyła się pozlota. W powietrze wzbilo się spłoszone stadko szpaków i z głośnym trzepotem skrzydeł okrążyło wysokie filary; ciemne ptaki wyglądały jak strzępki nocy. Dokoła rozlegało się wycie wiatru. W starej bibliotece po przechylonych półkach przemykały myszy. Z otwartych książek wypadały kartki, wirując jak liście w październikowym, suchym lesie. Uciekinierzy trafili też do długiej galerii, gdzie stały szpalerem uszkodzone marmurowe posągi. Na ścianach nadal wisiały zbutwiałe arras, łopocząc w przeciągu. Tawny spoglądał w przelocie na poskręcane przez wiatr sceny myśliwskie i alegoryczne. Figury zdawały się być w ruchu. Psy gończe z ujadaniem osaczały swoją ofiarę. Kopyta dziwacznych koni już, już miały dotknąć arrasowej darni. Cherubiny nadymały policzki. Z utkanych źródeł zaczynała tryskać woda. Zaś przy końcu długiej, wzbudzającej trwogę sali chłopiec zobaczył marmurowy posąg Wenus, której usta poruszały się, bezgłośnie wypowiadając jego imię.

Po krzykach dochodzących z tyłu Tawny zorientował się, że uczestnicy pościgu zdołali otworzyć drzwi. Gorączkowo myślał, co zrobić. Wieża okazała się ślepyim zaułkiem. Jedyne z niej wyjście zagradzał wściekły, groźny tłum z Mistrzem Pinnettem na czele. Uciekać można było tylko do góry; zwięzające się korytarze i schody wiodły do usytuowanej w wieżycy komnaty Nan Adkin. No i na koniec - pomyślał dręczony poczuciem winy chłopiec, spojrzawszy na biegnącego obok zwinnie smoka - wpędziłem cię w beznadziejną

pułapkę. Nie możesz wzbić się w powietrze, a wkrótce nie będzie już dokąd uciekać.



Goniąc resztkami sił, Tawny minął pochyłe drzwi i zaczął się wspinać po mocno zniszczonych, kręconych schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Kłuło go w boku i serce waliło mu jak szalone. Och, Nan, gdybyż to tylko była jedna z twoich opowieści... Gdybyż smok mógł wymknąć się przez... Na myśl o tym Tawny, mimo że bolały go wszystkie mięśnie, przyśpieszył kroku. Może jednak było jakieś wyjście.

Wpadając do komnaty Nan, chłopiec miał uczucie, że za chwilę pękną mu płuca. Po chwili do środka wbiegł smok - również wyczerpany. Tawny trzasnął drzwiami, po czym je zarygłował.

Nan, jak zwykle, siedziała przed kominkiem. Nie wydawała się zaskoczona tym najściem. Obróciła głowę z powolnością jaszczurki i przypatrywała się przez chwilę opartemu plecami o drzwi, zziąjanemu chłopcu i stojącemu obok niebieskiemu smokowi.

Wstrząsnął nią lekki dreszcz. Staranniej owinęła się czarnym szalem i rzekła:

- Tawny, ty i twój przyjaciel zrobiliście straszny przeciąg. Dzisiejsza noc jest okropna.

- My... ten...

Tawny zaniósł się kaszlem. Kiedy ponownie spróbował coś powiedzieć, było jeszcze gorzej. Mogło mu się tylko wydawać, ale słyszał już hałas dobiegający ze schodów.

- Ja... Ty...

Ciągle nie mógł mówić. Pierś mu falowała. Nan Adkin popatrzyła na smoka, a on na nią. Ogon stworza łagodnie zwijał się i rozwijał.

- A więc od pewnego czasu mieszkasz sobie w naszym zamku - rzekła stara kobieta. - Szkoda, że nie było okazji pogawędzić. Takie przedpotopowe istoty jak nas dwoje miałyby sobie dużo do opowiedzenia, no nie?

Smok zamrugał.

- Nie mamy dokąd uciekać - zdołał wreszcie wykrztusić Tawny, powoli odzyskując oddech. - Mistrz Pinnett prowadzi tu całą chmarę ludzi. Są już na schodach... Musisz nam pomóc.

- Niby jak?

- Zwierciadło. - Tawny odwrócił się w stronę lustra. Najniepotrzebniej w świecie odbijał się w nim mały, brudny chłopiec, stojący w świetle płonącego w kominku ognia. - Otwórz je na którąś z twoich opowieści. Przyszło mi na myśl, że smok mógłby przeskoczyć na drugą stronę. Czy to możliwe? Wtedy by go nie dostali.

- Skąd mogę wiedzieć? Spojrzał na nią.

- Jak to?

Zachichotała potrząsając głową. Stara, woskowa skóra twarzy zaśniła w blasku płomieni.

- Po prostu nie wiem. Nie mogę też otworzyć zwierciadła. Nigdy tego nie potrafiłam. Twoja Nan, Tawny, to tylko stara, bardzo stara kobieta, bez żadnych magicznych zdolności. Znam się najwyżej na ziołarstwie...

- Ale przecież ja to widziałem na własne oczy! - krzyknął chłopiec. Teraz już z całą pewnością słyszał zbliżające się głosy.

- Ono musi się jakoś otwierać.

- To ty posiadasz ten niezwykły dar, Tawny.

Chłopiec znowu stanął przed zwierciadłem, pokrzepiony nową nadzieją. Ale na lustrzanej tafli nie zaszła żadna zmiana - wciąż widział tylko siebie.

- Proszę! - wykrzyknął błagalnym tonem. - Nie ma już czasu
- dodał bliski łez.

Wtedy Nan uczyniła coś, co chyba nigdy jej się nie zdarzyło: położyła zdeformowane dłonie na poręczach krzesła i powoli dźwignęła się z siedzenia. Choć przygarbiona, była znacznie

wyższa, niż Tawny sądził. Powłócząc nogą, podeszła do chłopca i ujęła jego ręce w swoje dłonie, które były ciepłe i gładkie jak stare drewno.

- To ty, Tawny - rzekła - to ty otwierasz zwierciadło na dawny świat.

Chłopcu trysnęły z oczu łzy. Czemu ta stara kobieta robi sobie z niego żarty?

- Skoncentruj się, Tawny.
- Ale...
- Skup się!
- Ale jak?

- Zwyczajnie. Po prostu otwórz zwierciadło, mój mały. Robiłeś to już wiele razy. To czynność magiczna - podobnie oczywista i łatwa jak lot ptaka. Albo smoka, pod warunkiem... że do tego dorósł - dokończyła szybko, narażając się na gniewne spojrzenie niebieskiego stwora.

Tawny jeszcze raz spojrział w swoje odbicie. Nie chciało mu się wierzyć, że ów nic niewart chłopczyzna, który patrzył na niego z lustra, może mieć cokolwiek wspólnego z magią. Zapłakany i zły, odwrócił wzrok i skierował go na ogień. Nagle powietrzem targnęło przejmujące wycie i w górę, do komina, wystrzeliły potężne, zielone płomienie. Na ten widok nawet smok podskoczył.

- No widzisz, Tawny. - Nan zacisnęła palce na dłoniach chłopca. - Potrafisz to zrobić.

Stańło mu przed oczami leżące w podziemiach zwierciadło; przypomniał sobie, jak wypełniło się słonecznym blaskiem. Nie było tam z nimi Nan. I jeszcze to dziwne zachowanie się arrasów. A także posągu. Kiedy Tawny z powrotem popatrzył w lustro, chłopiec, którego w nim zobaczył, był ożywiony nadzieją.



Wtedy rozległo się walenie do drzwi. Słychać było krzyki i wołania o topór. Dominował głos Mistrza Pinnetta. Trzeba się śpieszyć, powtarzał w myślach Tawny. Odbity w zwierciadle obraz zafalował, jakby tafla była powierzchnią stawu. Chłopiec starał się skupić jeszcze bardziej. W lustrze nadal widoczne było zamglone wnętrze komnaty, lecz wyrzeźbione, połączone girlandy winorośli wokół ramy nagle ożyły - pokazały się brązowe łodyżki, młode, drżące liście i ciemnoszkarłatne owoce. Tawny odczuł ulgę i zachwyt.

Wkrótce winorośl znowu pokryła się pożąłą, ale za to zwierciadło zaczęło wysyłać światło. Obraz komnaty zasnuła srebrna mgła. Podczas gdy ktoś toporem rozłupywał drzwi, w lustrze pojawiła się leśna polana. Tawny poczuł na twarzy ciepły wiatr, przesycony zapachem kwiatów i świeżej trawy. Drzwi w końcu puściły. Odwróciwszy się, chłopiec zobaczył w wejściu Mistrza Pinnetta. Mężczyźnie nabrzmiały żyły i pot wystąpił mu na czoło - dosłownie kipiał z wściekłości.

- Wynoś się z mojego pokoju - warknęła Nan.

Pinnett nie odpowiedział - nie zadał sobie tego trudu. Władował się do środka, nie odrywając oczu od niebieskiego stwora.

- Pośpiesz się! - krzyknął Tawny do smoka. Zza pleców Pinnetta wynurzali się jeden po drugim ludzie z mieczami i pochodniami. - Musisz uciekać!

Smok spiorunował Pinnetta wzrokiem, co natychmiast zatrzymało zbliżającego się mężczyznę, i przypadł do lustra. Zanim jednak przeszedł przez ramę, obejrzał się na Tawny'ego. Na łuskach stwora już załamywały się promienie przedwiecznego słońca. Tym razem ciepłe spojrzenie nie przesyłało żadnych słów, ale to nie było potrzebne; Tawny wszystko zrozumiał. Po chwili smok był już po tamtej stronie.

Mistrz Pinnett wydał nieartykułowany ryk. Mijając Tawny'ego i Nan, przelazł niezdarnie przez ramę.

Cizba, która tłoczyła się w komnacie, z zaintrygowaniem obserwowała, jak krzepka postać niepewnym krokiem przemierza rozświetloną polanę po drugiej stronie lustra. Smok znikł już z pola widzenia. Mistrz Pinnett rozejrzał się dokoła. Niebo było tam tak niebieskie, że aż bolały oczy. Ponad szumiącymi drzewami wyrastały groźne, białe szczyty. Wszystko tchnęło świeżością. Kiedy mężczyzna powoli odwrócił się przodem do zebranych w komnacie ludzi, jego posiniaczona i okaleczona twarz była zmieniona nie do poznania. Po policzkach płynęły mu strumienie łez. Płacząc jak dziecko, padł na kolana w soczystą, miękką trawę.

Tawny patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami, nie wiedząc właściwie, czy Pinnetta spotkała straszliwa kara, czy wysoce niezasłużona nagroda. Uszu chłopca dobiegał śpiew ptaków i nieprzerwany szum lasu.

- Idź, jeśli chcesz - szepnęła Nan, delikatnie dotykając jego ramienia. - Ale stamtąd nie będziesz miał powrotu. Pamiętaj: tutaj jesteś kimś wyjątkowym. Świat po drugiej stronie lustra to kraina pełna dziwów i magii. Tam twoje skromne umiejętności niewiele będą znaczyły.

Wśród odzianych w nocne stroje widzów stłoczonych w progu komnaty rozległy się okrzyki zdumienia. To już nie były wrzaski tłumu, ale głosy poszczególnych ludzi - dobrych, złych i przeciętnych. Niektórych Tawny znał, z niektórych się śmiał, przed niektórymi odczuwał strach. Chłopiec pozwolił, by obraz w zwierciadle zasnęła mgła i by po chwili stało się ono na powrót szklaną taflą. Być może pewnego dnia' wejdę do świata Zaranja Dziejów - pomyślał, odwracając się twarzą do zgromadzonych w komnacie. Ludzie cofnęli się z lękiem. Tawny nie mógł się powstrzymać, żeby nie zademonstrować swych świeżo odkrytych możliwości: pokazał palcem leżącą przed kominkiem niedźwiedzią skórę, a ta powstała na nadjedzone przez mole łapy, wywróciła szklanymi oczami i zaryczała, po czym z westchnieniem legła znowu na podłodze.

Podniosły się okrzyki podniecenia, które zstępowały po schodach coraz niżej, wydawane nawet przez tych, co nic nie mogli zobaczyć. Nagle zebrani zaczęli klaskać, robiąc Tawny'emu prawdziwą owację - jak publiczność na występie fałszywego czarodzieja, który wyjmuje króliki z kapelusza. Toteż chłopcu nie pozostawało nic innego, jak tylko się uklonić. Wtedy poczuł, że już od dawna, bardzo dawna, nie robił siku.

- Hm, mogę państwa przeprosić? - rzekł.

Tłum rozstąpił się jak Morze Czerwone. Na myśl o wodzie potrzeba Tawny'ego stała się jeszcze pilniejsza, ale też i bardziej komiczna. Śmiejąc się chłopiec zbiegł po schodach na dół, minął stare, rozbrzmiewające echem sale i znalazł się na dworze, gdzie szalał sztorm.

Z czasem do owych zaskakujących, choć - jak się wkrótce okazało - stosunkowo ograniczonych magicznych zdolności Tawny'ego mieszkańcy zamku przyzwyczaili się tak samo jak do częstych „degustacji” wina ojca Hogga, jak do bezgłowego ducha, który nie wiadomo czemu stawał sobie w rogu sali biesiadnej w Noc Walpurgi, czy jak do upodobań królowej, przejawiającej niezwykle zainteresowanie muskulaturą paru przystojnych rycerzy. Była to po prostu jeszcze jedna osobliwość, która spowszedniała. Tawny'ego to nie obchodziło. Zależało mu jedynie, żeby mógł wymigiwać się od lekcji i robić to, co go interesowało, i by pozwalano mu odwiedzać Nan, ilekroć chciał. Tak też było. Ale teraz już bezwarunkowo musiał zostać rycerzem. Rycerz obdarzony magiczną mocą, nawet gdyby nie mógł sobie poradzić z Ciosem Króla Harry'ego albo Zimowym Łukiem Gauvaine'a, dysponował innego rodzaju bronią w walce z siłami Ciemności (choć nie było do końca wiadomo, jak Tawny miałby ze swoich możliwości korzystać). Niemniej jednak powszechnie uważano, że magia, nawet od samorodnego jej adepta, wymaga oddania się rozległym studiom. Tawny nie próbował temu zaprzeczać i spędzał długie popołudnia w bibliotece nad opasłymi foliałami poświęconymi wiedzy tajemnej. Ale siedział tam właściwie dlatego, że lubił zapach starych ksiąg i spokój, jaki panował w wielkiej, pełnej kurzu sali.

Czasami proszono go, by użył magii, kiedy ktoś w zamku potrzebował pomocy. Cieszyło go, że mimo wszystko może się do czegoś przydać, chociaż niektóre z próśb wydawały mu się dziwne lub zgoła niezrozumiałe. Miał na przykład przyjemność wyświadczyć pewną drobną przysługę królowi, wskutek czego monarcha ponoć znacznie bardziej zbliżył się z młodą królową. Szeptano nawet, że Tawny uratował to małżeństwo, a tym samym - głowę królowej. Kiedy chłopiec opowiedział o wszystkim Nan, ta strasznie się śmiała, ale nawet ona niczego mu nie wyjaśniła. Wyglądało na to, że istnieją sprawy, których nie można zgłębić nawet dzięki magii.

Opowieści Nan były cudowne jak zawsze. Tawny już się nie zastanawiał, czy to wszystko, o czym mówiły, rzeczywiście miało miejsce. Były piękne i przez to - prawdziwe. Złote zwierciadło w mrocznym kącie komnaty w starej wieży nadal, niby płatki kwiatu, otwierało się dla niego na świat Zaranja Dziejów. Teraz chłopiec już wiedział, że ma w sobie moc, ale też pojmował, iż nie należy ona do niego w większym stopniu niż morze lub wiatr. Kiedy jak urzeczony wpatrywał się w tamte wspaniałe obrazy, czasem widział w przelocie różne smoki: zielone albo czerwone, albo niebieskie. Ale zawsze były daleko i wzbudzały grozę jak wysokie, białe szczyty gór, w których mieszkały. Tawny wiedział, że niebieski smok, którego ocalił, był teraz gdzieś tam, wśród gwiazd i promieni słońca, i obłoków, nieosiągalny

dla żądnych smoczej krwi rycerzy. Najważniejsze, że był bezpieczny.

Rzecz dziwna: Mistrz Pinnett nigdy już nie pojawił się w zwierciadle, a jeśli nawet, to zmienił się tak bardzo, że był nie do rozpoznania. W świecie Zaranja Dziejów Tawny widział paru ludzi, ale byli to głównie czarownicy i mnisi, pasterze grający na puszczalkach albo śliniące się wampiry i wilkołaki. Być może zresztą Mistrz Pinnett nigdy nawet nie próbował się pokazać, gdyż nikt w zamku za nim nie tęsknił. Jedynie Tawny często zadawał sobie pytanie, co się z nim dzieje, zwłaszcza gdy opadały go ponure myśli, tak jak pewnego zimowego dnia, kiedy rumak jego ojca wrócił z wyprawy do Niebezpiecznej Kaplicy bez jeźdźca i oszalały z przerażenia. Siedząc z Nan i patrząc na obwiedzioną złotą ramą trawiastą ścieżkę, która wiodła wśród słonecznego blasku i kwiatów ku zaczarowanemu jezioru, chłopiec miał wrażenie, że świat Zaranja Dziejów szarpie go za serce i wzywa. Przeczynał, że któregoś dnia w końcu przejdzie przez tę ramę. Przypomnił sobie, jak Mistrz Pinnett rozplakał się na widok tamtej cudownej świeżości, i teraz niemal z niecierpliwością czekał na spotkanie z nim - po drugiej stronie lustra.